

8/2017

EQUESTRIA
TIMES

15



Wywiad z Alberichem
Sekrety autora "Zegarów"

Najgorsze w serialu
Czyli co gryzie Gray Picture

Ocena trailera
Dlaczego film zapowiada się źle

Witam wszystkich Czytelników!

Jak widać, nasze pismo żyje, ma się dobrze i nie zwalnia tempa, a wręcz przeciwnie, nabiera wiatru w żagle i przyspiesza! Tym razem przerwa między numerami była dużo mniejsza. Mimo odejścia części redaktorów (do tej pory tęsknię za Macterem, chlip, chlip...) postaraliśmy się dostarczyć Wam jak najwięcej materiału do przeczytania.

Co mamy dla Was tym razem? Oprócz standardowych recenzji fanfików od Ghatorra i Falconka, Cahan wraz z Gray Picture oceniły trailer nowego filmu osadzonego w uniwersum My Little Pony. Ta pierwsza dokonała też analizy demografii Equestrii, a Gray Picture opowie Wam, co ją gryzie w serialu. A teraz oddaję głos Verlackowi...

»Gandzia

Witam!

"Equestria Times", jak już Gandzia zaznaczył, miewa się dobrze i pomimo się przyspieszyć pracę. Nie samymi kucykami jednak ET żyje, stąd też z znaną się z recenzjami pozafandomowymi. W tym numerze, Cahan m w postaci "Hrabiego Monte Cristo", a Verlack z najnowszą "Dunkierką" N kryminału – "Monsterem".

Liczmy, że w przyszłości "Equestria Times" będzie dalej kontynuować dziemy w stanie dalej dostarczać wam to pismo w najlepszej możliwej

Redaktor Naczelny - Cahan

Redaktor wicenaczelny - Gandzia, Verlack

Redaktorzy - Matyas Corra, KingofHills, Zodiak, Gray Picture, Ghatorr

Korektorzy - solaris, Gandzia, SoulsTornado, Magda B

Dział techniczny - Pisklakozaur, Falconek

My Little Pony Friendship is Magic i Hasbro są zastrzeżonymi znakami towarowymi Hasbro Inc. Redakcja Equestria Times nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam zamieszczonych w magazynie.

facebook

mlppolska

Wykorzystano prace autorów:

[Mlp-vector-collabs](#)

[MailNer](#)



Spis treści

RECENZJE

The Conversion Bureau: Ten Days.....	4
The Restoration Bureau.....	6

MANUFAKTURA

Bad Dude And The Coalition Of United Terrible Evils.....	7
--	---

PUBLICYSTYKA

Film MLP oczami Cahan i Gray Picture.....	9
Wywiad z Alberichem.....	14
Najgorsze w serialu.....	18
Głęboka hiperanaliza serialu.....	21

FELIETONY

Seria Silent Hill.....	24
------------------------	----

POZOSTAŁE

Hrabia Monte Christo.....	25
Recenzja: Dunkierka (2017).....	28
Recenzja: „Monster”.....	30

problemów udało
achęcam do zapo-
nierzy się z klasyką
olana oraz klasyką

dobrą robotę i bę-
formie.

»Verlax





[Alternate Universe] [Crossover] [Romance]

The Conversion Bureau: Ten Days

Autor: Windchaser

Biura Adaptacyjne są dość kontrowersyjnym rodzajem fanfików MLP, a ich popularność już dawno temu przygasła. Mimo to wciąż co pewien czas wychodzą nowe, z reguły dość krótkie, opowiadanka i cały czas dostępne są wszystkie klasyki – od fików Cha-toyance po np. dzieła AegisExemplara. Czasami można natrafić na istne perełki – i wielka szkoda, że "Ten days" pióra Windchasera do nich nie należy.

» *Ghatorr*

Poza "Ten days" autor spędził całkiem przyjemne "Last man standing", opowiadające o historii spotkania Twilight z ostatnim człowiekiem na Ziemi odmawiającym ponifikacji. Co prawda LMS czasami drażniło typowymi grzechami opowiadań traktujących o Biurach Ponifikacyjnych, takimi jak zbyt duże uproszczenie sytuacji czy demonizacja niektórych z postaci, ale wady nie rzucały się aż tak bardzo w oczy i ogólnie całość niezłe się prezentowała na tle innych fików z tego podgatunku, szczególnie biorąc pod uwagę, że był to debiut autora. Niestety, kolejne dłuższe dzieło Windchasera okazało się nie dorastać swojemu poprzednikowi do pięt.

Opowiadanie rozpoczyna się istnym trzęsieniem ziemi: w fabryce, w której pracują rodzice głównego bohatera, nastolatka imieniem Jay, dochodzi do wypadku, w wyniku którego giną zarówno oni, jak i wiele innych dzieciątch pracowników.

Korporacja, do której należy fabryka i która do tej pory oferowała swoim pracownikom sporo usług socjalnych, stawia przed grupką sierot wybór – mogą albo rozpocząć pracę u nich i w zamian za to dalej otrzymywać wszystkie świadczenia, które otrzymywali ich rodzice, albo mogą zostać przetransportowani do najbliższego biura adaptacyjnego i przestać być ich problemem. Biorąc pod uwagę tematykę opowiadania, nietrudno się domyślić, którą opcję wybierają, prawda?

Pierwsza połowa opowiadania toczy się więc w biurze adaptacyjnym i, tak szczerze powiedziawszy, nic nie zapowiada tam katastrofy. Ot, mamy do czynienia z całkiem przyjemnym slice of life, opisującym grupkę odrobinę strauumatyzowanych nastolatków, ze swoimi własnymi problemami, uczuciami i oczekiwaniami. Opowiadanie rzuca nam sporo postaci, różniących się od siebie i z reguły dających się polubić, i każe im zabawić czytelników przez kilka rozdziałów. Do pewnego momentu myślałem nawet, że będzie to jedno z przyjemniejszych opowiadań, jakie było mi dane czytać w tym gatunku, i to mimo kilku wad.

Niestety, w pewnym momencie nadchodzi TEN rozdział. Wyobraźcie sobie "Anię z Zielonego Wzgórza", która nagle w połowie cyklu przekształca się w brutalną książkę o pobycie dzieci Ani na froncie zachodnim i ich śmierci pod Ypres; "Kubusia Puchatka", który staje się książką o terapii chorego psychicznie dziecka, które jest przekonane, że jego zabawki żyją; albo "Grę

o Tron”, w której nagle część postaci udaje się na dziką wycieczkę na inny kontynent, przekształcając całość w komedię, której nie powstydziliby się Terry Pratchett. Kto wie, może nawet te wszystkie rzeczy byłyby całkiem niezłe – lecz nie pasowałyby do oryginalnej tematyki. Podobnie jest tutaj – czytelnik czyta sobie całkiem fajne slice of life i nagle dostaje (metaforycznie) zdechłym karpem prosto w twarz. Co gorsza, tutaj też zaczyna się ta gorsza część utworu, kompletnie psując pozytywne wrażenia z początku.

Wygląda to tak, jakby autor nagle stwierdził, że ma za dużo postaci i wątków, których nie umie rozwiązać, i poradził sobie z tym w najprostszy możliwy sposób – brutalnie je zarzynając (i to, w niektórych wypadkach, dosłownie). Z kolei te, które zostały, jak na przykład sprawa śmierci rodziców naszych bohaterów, zostają rozwiązane w sposób wołający wręcz o pomstę do nieba – naprawdę, jeśli rozwiązanie miało aż tak bardzo obrażać mój intelekt, to chyba już bym wołał, by aż do końca wyglądało to na zwykły przypadek. Tu trochę robienia kobiety lekkich obyczajów z logiki, tam rozwiązanie wyjęte bez zapowiedzi z czterech liter... wszystko, co w pierwszej części fika było dobre, zostaje potraktowane z brutalnością godną postaci z serii Mortal Kombat.

Na osobną wzmiankę zasługują też "czarne charaktery" – są napisane w sposób wręcz karykaturalny. Od pierwszej chwili, gdy się pojawiają, od razu wiadomo, że nie można po nich oczekiwać niczego dobrego, ale i tak gdy ich złe i niecne uczynki w końcu wychodzą na światło dzienne, to wychodzi to wręcz komicznie. Przydałaby się przynajmniej odrobina finezji – a tak brakuje chyba tylko tego, by gdzieś na początku fika "złoczyńcy" ze smakiem zjedli noworodka lub dwa, by czytelnik nie miał absolutnie żadnych wątpliwości, że to są niemili ludzie.

Na szczęście do wad nie należy styl. Opowiadanie zostało napisane poprawną angielszczyzną, może bez większego polotu, ale nie przeszkadza w czytaniu. Całość ma nieco ponad sto tysięcy słów, z czego jednak pierwsza część ma ich za mało, a druga stanowczo za dużo. Ot, po prostu kawał solidnej roboty.

Może jestem nieco uprzedzony, ze względu na to, że mój ulubiony wątek należał do tych gwałtownie uciętych (o ironio, to właśnie on był powodem mojej pozytywnej opinii na początku – po prostu byłem pozytywnie zaskoczony, jak sprawnie autor zdaje się operować zawłościami romansowymi), ale serdecznie nie polecam tego fika. Byłby o wiele lepszy, gdyby autor albo zdecydował się podzielić go na dwie części, albo przynajmniej próbował ostrzec czytelnika, że nagle całą spokojną atmosferę w tak bardzo brutalny sposób trafi szlag. Kto jest przygotowany na to, że "Ania z Zielonego Wzgórza" nagle przejdzie w "Na zachodzie bez zmian" albo że "Gwiezdne Wojny" okażą się być nową "Diuną" – może spróbować. Mi do gustu to nie przypadło, choć znam przynajmniej jedną osobę, która – nawet mimo świadomości wszystkich wad i problemów fika – dobrze się bawiła przy czytaniu.

THE CONVERSION BUREAU



"Honestly, Tom, when you suggested 'pony play', I was expecting kinky sex, *not* moving to Equestria."



[Alternate Universe] [Human]

The Restoration Bureau

Autor: pjabrony

Większość fanfików z uniwersum Biur Adaptacyjnych, przynajmniej tych, które miałem okazję czytać, zakłada, że połączenie światów ludzi i kucyków nastąpiło wskutek jakiegoś kosmicznego kataklizmu, zagłada Ziemi jest nieuchronna i jedyną drogą ratunku dla ludzkości jest ponyfikacja. Takie założenia sprawiają, że czytelnik musi uznać każdego bohatera, który ponyfikacji się sprzeciwia, za nieobliczalnego wariata.

» *Falconek*

Co jednak by było, gdyby to Celestia, mając możliwość wyboru, podjęła świadomą decyzję o rozpoczęciu akcji ponyfikacyjnej wśród ludzi? I co mogłoby skłonić ją do takiego kroku?

“The Restoration Bureau” zaczyna się w sposób typowy dla TCB. Poznajemy dziewczynę o bliżej nieokreślonym wieku i pochodzeniu, której życie wśród ludzi dało w kość i która bardzo chciałaby się przenieść do pięknej Equestrii. Nie wygląda to zbyt zachęcająco, ale na szczęście w tym miejscu podobieństwa się kończą. Zamiast opisów złego świata, perypetii bohaterki starającej się o swój wymarzony łyk eliksiru i adaptacji do życia w Equestrii, mamy jej sen, sen o kucykach, w którym pojawia się nie kto inny, tylko księżniczka Luna.

Po krótkiej rozmowie okazuje się, że Luna w tym akurat śnie znalazła się przypadkowo i wcześniej nawet nie wiedziała o istnieniu ludzi. Swoją drogą, scena ta i reakcja Luny na tak dziwnego kuczka

jest doskonała. Konkluzje, do jakich dochodzi Pani Nocy, są zaskakujące i odbiegają od tego, co zwykle spotykamy w opisach pierwszych spotkań ludzi z koniowatymi.

Oczywiście, dowiedziawszy się o istnieniu ludzi, Celestia musi podjąć decyzję, co z tym począć. Nie trudno się domyślić, jaka jest ta decyzja. Ciekawe jest to, że nie mamy tu żadnej klęski żywiołowej, czy międzywymiarowej katastrofy, niczego, co w imię ratowania ludzkości zmuszałoby kuczki do otwarcia biur. Dlaczego więc Pani Słońca decyduje się to uczynić? Wiele podpowiada sam tytuł, w końcu Restoration Bureau to “Biuro Przywracania”. W fanfiku mamy tę myśl rozwiniętą, nie wprost, z wieloma niedopowiedzeniami, w sposób pozwalający czytelnikowi na własne domysły.

Osobiście chciałbym zobaczyć kontynuację tego fika w jakiejś dłuższej formie, nawet wielorozdziałowca. Koncepcja, że ludzie mogli mieć wspólną z kucykami historię przed TCB, jest interesująca, jednak w “The Restoration Bureau” stworzono załączek nietypowego uniwersum na granicy fantasy i science-fiction.

Fanfik jest klimatyczny. Ze względu na jego długość (ledwie 1500 słów) nie znajdziemy tu rozbudowanych opisów. Całość opiera się na dialogach i refleksjach głównej bohaterki. Tempo jest powolne, oddające nastrój snu. Krótko mówiąc, lektura była przyjemna i mogę “The Restoration Bureau” polecić jako nietypowe spojrzenie na TCB.



[Random] [Comedy] [Slice of Life]

Bad Dude And The Coalition Of United Terrible Evils

Autor: naturalborderpy

Bardzo lubię złoczyńców. Filmy, gry, seriele – za każdym razem postacie, z którymi mierzą się protagoniści, od razu przykuwają moją uwagę i decydują o tym, jak bardzo spodoba mi się dane dzieło. Nic dziwnego zatem, że gdy odkryłem opowiadanie MLP, w którym wszyscy złoczyńcy łączą swoje siły pod wodzą strasznego przywódcy, to wręcz zaklaskałem uszami z radości i zabrałem się do czytania. Musiałem tylko uważać, by przy „Bad Dude And The Coalition Of United Terrible Evils” nie udławić się ze śmiechu.

» *Ghatorr*

Na fiki napisane przez użytkownika Naturalborderpy wpadłem przez przypadek, szukając opowiadań z moim ulubionym złoczyńcą w MLP – Sombłą. Po przeczytaniu kilku z nich, posiadających zadziwiająco podobny styl oraz jakość wykonania, zorientowałem się, że wszystkie zostały napisane przez jedną osobę, która od tamtej pory dzierży w moim prywatnym rankingu dumne miano króla komedijek i horrorów kurowych. Jednym z jego dzieł było małe, jednorozdziałowe opowiadanko o tytule „Princess Celestia’s Newest Arch Enemy”, opowiadające o tym, jak źrebak marzący o zostaniu złoczyńcą próbuje pokonać księżniczkę słońca we własnej osobie – i, co więcej, (uwaga – spoiler) udaje mu się to dzięki użyciu potęgi czystej słodkości, przed którą nawet księżniczki musiały skapitulować.

„Bad Dude and CUTE” stanowi kontynuację tego niewielkiego dziełka. Już po swoim wielkim tryumfie tytułowy Bad Dude (tak naprawdę nazywający się Sweet Glaze), budząc grozę wśród wszystkiego, co dobre na tym świecie i równocześnie wciąż nierozpoznany (jak widać, pelerynka stanowi przebranie idealne), próbuje stworzyć tytułową koalicję. Sombra, Chrysalis, Tirek, Discord... czy ktokolwiek będzie w stanie powstrzymać taką grupę? Szczególnie gdy prowadzi ich najśrodszy zły źrebak w Equestrii?

Odpowiedź brzmi – „tak”. Najczęściej będą to oni sami. Autor w mistrzowski sposób operuje humorem, zarówno słownym, sytuacyjnym, jak i powiązaniem z samymi postaciami. Ot, choćby nasz główny bohater – bądź co bądź to zaledwie źrebak, którego marzeniem jest zostanie zagrożeniem dla Equestrii. W swoim zachowaniu przypomina chociażby doktora Horrible (tytułowej postaci z musicalu „Dr. Horrible’s Sing-Along Blog”), ograniczając do minimum wszelkie negatywne skutki swoich działań i ogólnie nie do końca pojmując, co powinien robić porządny złoczyńca... choć jego „podwładni” starają się go przynajmniej trochę wyedukować w tej materii. Częściej jednak to młody Bad Dude oddziałuje na nich – i ma do tego sporo okazji, bo to jednak bardzo oryginalna banda: Sombra, który tłumaczy lenistwo koniecznością „odzyskania sił” i którego młody Sweet Glaze próbuje

zeswatać z Chrysalis; sama królowa i jej rój uroczych podmieńców; wreszcie Tirek, który w trakcie pobytu w Tartarze został zażartym fanem czytelnictwa oraz Discord, który... no cóż... jest Discordem. I wciąż ma zapiekły uraz do Tireka.

Po zapoznaniu się z twórczością użytkownika Naturalborderpy mogę stwierdzić, że prawdopodobnie on też bardzo lubi złoczyńców – i to widać. Wszystkie scenki z nimi, począwszy od prób rekrutowania ich przez Bad Dude'a, po ich codzienne interakcje w ponurym (i la-tającym!) zamczysku, które biorą sobie za główną siedzibę, wręcz tryskają błyskotliwym humorem. Koalicja składa się, bądź co bądź, z dość złośliwych istot... W złośliwym, często nasączonym (nie)dwuznacznymi tekstami humorze króluje szczególnie Chrysalis.

Co ważne, kolekcja interesujących postaci nie zamyka się tylko na podwładnych/przyjaciołach głównego bohatera – autor tchnął życie w każdą postać w opowiadaniu, od innych kucyków z serialu (w opowiadaniu z nieletnim głównym bohaterem oczywiście musiały się znaleźć CMC, a Shining na długo zapamięta swoje spotkanie z Koalicją) po OC – szkolnego łobuza, który ma pecha przy wyborze celu do dręczenia bądź klaczkę z Kryształowego Imperium. Na osobną uwagę zasługuje trójka podmieńców, którą główny bohater otrzymuje, praktycznie jako prezent, od Chrysalis – Tic, Tac, Toe, którzy otrzymali nawet własne rozdziały.

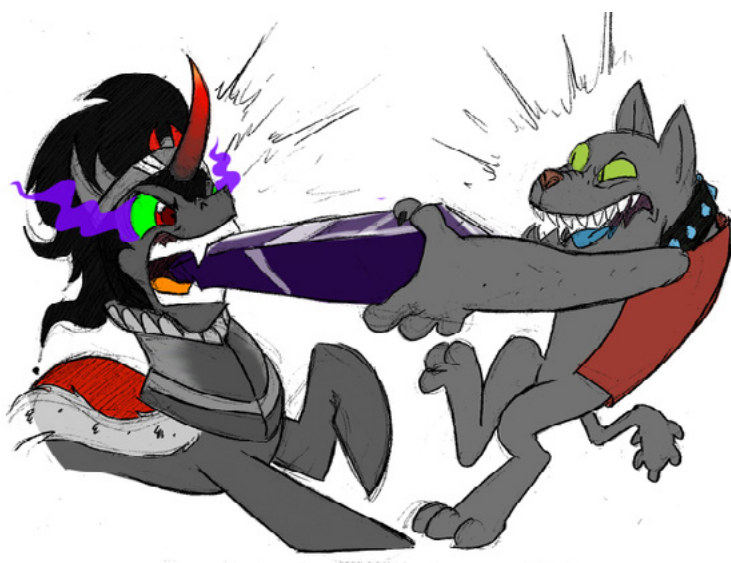
Nie zapomniano też o drobniejszych czarnych charakterach, takich jak Trixie czy Gilda. Całkiem sporo humoru zawierają rozdziały pokazujące reakcje Mane 6 i CMC na nowe, przeraźliwe zagrożenie, które stanęło przed Equestrią – i pal to lichu, że to po prostu żrebak. Jak pokazuje rozdział poświęcony Twilight, Bad Dude jest dla niej zadziwiająco ciężkim orzechem do zgryzienia.

Nie samym humorem jednak żyje człowiek – i na całe szczęście opowiadanie broni się również w innych aspektach. Fabuła, skupiająca się na dążeniu naszego protagonisty do przejścia władzy w Equestrii (oraz kilku mniejszych celów, jak np. zeswatanie Sombry z Chrysalis), toczy się w wolnym tempie, ale

wyraźnie widać, że jest solidnie zaplanowana, przemyślana i wyegzekwowana. Poza fragmentami czysto komediowymi pojawiają się też, równie dobrze napisane, kawałki bardziej obyczajowe, a czasami wręcz poważne – autor nie zapomina, że jego postacie to groźne istoty, które wielokrotnie zagrażały Equestrii i w kilku miejscach pokazuje ich potęgę... oraz wpływ, jaki mają na samego Bad Dude'a. Mimo to nic nie psuje ogólnego, uroczoko-mediowego nastroju.

Styl nie pozostawia żadnych zastrzeżeń – wręcz przeciwnie. Wszystko jest napisane lekką, łatwą i przyjemną angielszczyzną, pozostawiającą sporo miejsca na gierki słowne i dowcipy. Problemów, czy to z gramatyką, czy z ortografią, nie znalazłem. Absolutnie nic nie przeszkadza w czytaniu.

Największą wadą całości jest fakt, że... całości nie ma. Ostatni rozdział został wydany ponad rok temu i od tamtego czasu opowiadanie nie daje oznak życia. Dojście aż do końca wydanego tekstu i zorientowanie się, że dalszej części po prostu nie ma, jest mniej więcej tak przyjemne jak dostanie zdechłym karpem w twarz – ale w tym wypadku stanowczo warto, bo nawet ten wycinek, który dostaliśmy, potrafi ubawić aż do łez. W końcu może autor też przypomni sobie, że ma do dokończenia pewne zabawne dziełko...? Pozostaje na to liczyć. W końcu jak mam żyć, jeśli nie wiem, co się stało z Shining Armorem po spotkaniu z Koalicją?





Film MLP oczami Cahan i Gray Picture

Czyli ocena trailera

Cahan

Niedawno obejrzałam trailer "MLP: The Movie" w obu wersjach językowych i mam dość mieszane uczucia. W zasadzie to miałam je już przed publikacją tych materiałów reklamowych. Mówiąc wprost – oczekuję czegoś, co z jednej strony będzie klapą, a z drugiej da się oglądać i nieźle przy tym bawić. Czy moje czarnowidztwo ma podstawy? Niestety tak, w końcu twórcy zdradzili nam już całą fabułę i praktycznie pokazali niemal wszystko, co się dało.

Animacja

Nawet podoba mi się ten nowy styl pastelowych osiołków, ale to też dlatego, że nie jestem fanką strony wizualnej animacji z Flasha. To, co nam zaprezentowano, jest dużo płynniejsze, a i sam wygląd kucyków sporo zyskał. Ale przede wszystkim nie jest to już takie sztywne i płaskie. Co prawda nie jestem fanką 2,5D i pozostaję wierna starym, rysowanym kreskówkom, ale świat idzie do przodu i nikomu się nie opłaca robienie produkcji na miarę starych bajek Disneya.

Jednak o ile wygląd samych postaci jest przyjemny, to tła wyglądają dużo gorzej. Pewne ich elementy wyglądają jak doklejone w fotoszopie modele zrobione na szybko. W sumie nie zdziwiłabym się, gdyby faktycznie tak było. Choć-

by statek Tempest Shadow czy figury Celestii i Luni – nie wiem, komu wpadło do głowy takie mieszanie stylów, ale na estetyce to on się nie znał. Jasne, czasami coś takiego może się udać, za przykład podałabym anime "Girls und Panzer" i walki czołgów, jednak tam zrobiono to z wyczuciem oraz odpowiednio dopasowano poszczególne elementy.

Kuleje też nasycenie barw. Całość jest jaskrawa jak OCKi z Pony Creatora. To już nie są pastelowe koniki, to są fluorescencyjne koniki. Najbardziej to chyba widać po Starlight i Trixie, które przez chwilę pojawiają się w jednej ze scen. Prócz tego mam wrażenie, że barwy są bardzo rozmyte – prawdopodobnie próbowali uzyskać gładkie cieniowanie.

Nowi bohaterowie

Tu jest różnie. Najbardziej podoba mi się Tempest Shadow, do której od początku nie nastawiałam się negatywnie (a wszyscy się śmiali, że wygląda jak kiepskie OC). Jednak w oryginalnym trailerze po prostu wymiatała. Ta mimika, ten głos! Szykuje się ciekawa jak na kucyki postać. W ogóle podoba mi się jej design, może poza oczami (wyglądają na zamglone, co ma moim zdaniem mało sensu). Fakt, blizny, mroczne imiona i złamane rogi to są atrybuty złych OCKów, jednak w serialu ani filmie czegoś takiego jeszcze nie było. No i Tempest chyba nie jest taka zła do szpiku kości. Ma też fajną sylwetkę oraz zbroję.

Za to zupełnie nie podobają mi się piraci od kapitan Celaeno. Pomysł anthro papug uważam za chybiony. Rozumiem ideę – piraci mają papugi, he he, ale nie widzę sensu dodawania kolejnych ras rozumnych do uniwersum. Szczególnie, że w świecie My Little Pony żyją gryfy, które spokojnie dałoby się tu wykorzystać. Nie lubię też samego motywu dobrych piratów. Piraci to tacy kolesie, co napadają na inne statki, zabijają ich załogę i rabują dobra, ale z niewiadomych powodów bywają przedstawiani jako postacie pozytywne. Może trochę się czepiam, bo to tylko mało poważna bajka dla dzieci, ale czy nie lepiej pokazać piractwa jako czegoś złego i niegodnego pochwały, ale jednocześnie zrobić to w humorystyczny sposób?

Kolejną nową postacią jest Capper, tym razem mamy anthro kota. Trochę dużo tych anthro zwierząt w tym świecie.

W ogóle temat ras rozumnych w MLP jest kiepsko zrobiony – rozumne jaki i hodowlane krowy, kotki jako zwierzęta domowe oraz posiadacze własnego państwa. W sumie to typowe w bajkach dla dzieci, gdzie anthro kaczką je na obiad pieczonego indyka. W ogóle trochę szkoda, że twórcy, zamiast rozwijać to, co mają, wolą dokładać nowe, które pojawia się na chwilę, po czym znika na wiele sezonów.

Rasa morskich koni, która tak naprawdę nie istnieje, ponieważ składają się na nią przemienione hipogryfy, to ciekawy temat. Jest nadzieja, że nie dostaniemy "Małej Syrenki: Powrót do Owsa", tylko coś zupełnie innego. Sam wygląd hipogryfów również jest lepszy niż by się można spodziewać i wyraźnie różnią się one od kucyków. Jednak ciekawe, że w formie hipokampów utraciły dzioby. Pewnie z nimi nie byłyby dość ładne dla kilkuletnich fanek Arielki.

Mamy też rasę, do której należy Storm King i jego przydupas – Grubber. Nie jestem pewna, co to ma być, bo wygląda jak hybryda między anthro pawianem a ratelem miodożernym. O tym ostatnim zwierzątku pewnie już słyszeliście, ponieważ od jakiegoś czasu regularnie pojawia się w bajkach dla dzieci. Do tego gatunku należy jeden z członków Lwiej Straży z "The Lion Guard" oraz lekarka

z "Zootopii". Podobieństwo między tym pierwszym a Grubberem jest wręcz uderzające. Same postacie wydają się mieć duży potencjał komediowy i jak dla mnie jest to wada. Jednak Grubber chyba nie będzie typowym nieogarniętym sługą, bo na trailerach wydaje się całkiem kompetentny.



I na koniec: Songbird Serenade. Hasbro znów zainspirowało się Disneyem i kultem celebryty w kinematografii. "Zootopia" miała Shakirę, tzn. Gazelle, zaś "My Little Pony: The Movie" ma Się. Nic nie mam przeciwko żadnej z tych pań, zwisają mi one i powiewają, ale nie lubię, kiedy do filmu wciska się na siłę znaną celebrytkę po to, by zaśpiewała ładną piosenkę, a oprócz tego wciska się ją, ile wlezie i kreuje jako wielką, genialną, najlepszą Mary Sue. Idę o zakład, że nagle wszyscy zapomną o Rarze czy innych piosenkarkach z Equestrii, bo trzeba wcisnąć Songbird Serenade. Swoją drogą strasznie nie podobają mi się imię i wygląd tej postaci – ta kokarda od Apple Bloom...

Fabuła

Fabuła nigdy nie była najmocniejszą stroną produkcji o kolorowych koniach (przynajmniej w G4). Do premiery jeszcze parę miesięcy, a twórcy już nam wszystko zdradzili. Generalnie nie brzmiałoby to bardzo źle, gdyby nie to, że film będzie bardzo krótki. A już to oznacza, że będzie cierpieł na bólączkę serii "Equestria Girls", czyli akcją pędzącą z prędkością światła. Duża liczba nowych postaci dodatkowo utrudnia całą sprawę – nie będzie czasu na ich poznanie.

Znamy już całą historię przedstawioną w filmie, łącznie z twistami fabularnymi. To dość ciekawe, że Hasbro ujawniło nawet, kto zdradzi, kto się nawróci i jaką kto ma motywację. Wyobraźcie sobie sytuację, w której przed premierą "Frozen" twórcy mówią, że Hans zdradzi Annę, bo to mniej więcej stało się w przypadku "My Little Pony: The Movie". Akurat ja nie jestem osobą, której spoilery przeszkadzają w czerpaniu radości z danej produkcji, jednak zdaję sobie sprawę, że coś takiego psuje zabawę wielu ludziom.

Dubbing

Oryginalny dubbing trzyma poziom, szczególnie wybija się postać Tempest Shadow grana przez Emily Blunt. Ten głos świetnie pasuje do postaci. Jestem też mile zaskoczona Grubberem, bo bałam się, że zabrzmiałby kretyńsko. Storm King również wypada całkiem nieźle.

Gorzej wypada nasza polska wersja, jednak to standard. Co ciekawe, nowe postacie zaprezentowane w trailerze nie brzmią źle. Jednak polska Tempest nie umywa się do oryginału i jak dla mnie jest raczej słaba, ponieważ brzmi sztucznie. Oczywiście Pinkie Pie wypala uszy swoim jazgotem.



Dlaczego czarno to widzę

No cóż, godzina i trzydzieści dziewięć minut to mało czasu na film, szczególnie, że same napisy zabierają sporo czasu. Do tego upchnięcie w te ramy takiej ilości akcji oraz nowych bohaterów niewątpliwie będzie wyzwaniem. Nie jestem pewna, czy Hasbro o tym wie, skoro zamierza tracić cenne minuty na Się. W efekcie temat nowych ras prawdopodobnie zostanie potraktowany mocno po macoszemu, za to dostaniemy piosenki. Może nawet będą fajne, jednak ta, co już wyciekła, zadka nie urywa.

Strona wizualna również mogłaby być lepsza i mam nadzieję, że jeśli powstanie kolejny film, to twórcy zrozumieją swoje błędy. W końcu flashowa animacja z sezonu na sezon stawała się coraz lepsza, może animatorzy po prostu potrzebują czasu, by lepiej ogarnąć Harmonię. Jeśli produkcja okazałaby się sukcesem, to pewnie otrzymałyby też większe fundusze, które mogłyby przeznaczyć na ulepszenie grafiki.

Gray Picture

P przed obejrzeniem traileru byłam bardzo pozytywnie nastawiona do „My Little Pony: The Movie”. Po obejrzeniu mój zapal znacząco osłabł, ponieważ zdałam sobie sprawę, że jest bardzo wiele rzeczy, które mogą i najprawdopodobniej zostaną zrobione źle.

Wygląd

Wiem, że już się nie robi „rysowanych” filmów, bo to się nie opłaca i zajmuje za dużo czasu. Mimo to szkoda, że „My Little Pony: The Movie” nie będzie zrobiony w tym samym stylu, co serial. Może był bardzo cukierkowy, ale mi się podobał. W tym nowym jest sporo różnic względem starego. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to zmiana wyglądu samych kuców. Wydają się wyglądać na cięższe i niższe – jeszcze bardziej niż wcześniej przypominają chodzące kiełbaski czy inny salceson. Czy jest to duża wada? Myślę, że nie będzie to zbytnio przeszkadzać, ale trzeba się do takiego stylu przyzwyczaić. Ta drobna niedogodność jest rekompensowana przez znacznie płynniejszą animację. Poza tym oczy kucyków zostały nieco zmienione. Na tęczówkach mają takie jakby iskierki. Do tego mniej dostrzegalne są teraz różnice w kształcie oczu poszczególnych osiołków. Najgorszym, co się zmieniło, to ich kolorystyka. Kolory są znacznie intensywniejsze, co może być męczące przy dłuższym oglądaniu. Bardzo nie podoba mi się wygląd większości tęg, zwłaszcza tych przedstawiających Canterlot. Stylistycznie nie pasują do postaci.

Nowe postaci

Niektóre podobają mi się bardziej, inne zdecydowanie mniej. Na sam początek główny czarny charakter – Tempest Shadow. Żeby wyglądała jak typowy zły Ocek, brakuje jej tylko czerwonych tęczęwek. Ale jednak nie wypada najgorzej. Ten złamany róg i blizna nie są zbyt oryginalnym pomysłem jak na fandom (miejmy nadzieję, że chociaż nie jest sierotą i nie mieszka w lesie Everfree), lecz w MLP jeszcze czegoś takiego nie było i nadają one postaci bardzo mrocznego, jak na bajkę dla małych dzieci, charakteru. Do tego Tempest ma bardzo urzekający głos i naprawdę fajną zbroję.

Jej przydupas Grubber bardzo mi się nie podoba. Ciężko mi nawet powiedzieć, czym on jest. Szczerze mówiąc, przypomina coś pomiędzy szopem, który uciekł z podejrzanych eksperymentów związanych ze sterydami, a mrocznym wcieleniem Sticha. Zdecydowanie nie pasuje do MLP. Jedyne plus jest taki, że nie wydaje się on być zwykłym, bezrozumnym sługusem czarnego charakteru.

Nie rozumiem, dlaczego twórcy postanowili wprowadzić tyle anthro postaci. Jest to dziwne, zważywszy na to, że dotychczas stworzonymi inteligentnymi były tylko zwierzęta kopytne. Mamy więc anthro papugi oraz kota. To pierwsze jest pewnie jakimś żartem, no bo piraci mają papugi. Jak już koniecznie muszą być piraci, to osobiście widziałabym w ich roli zebry, gryfy, czy nawet zwyczajne kucyki. Największy problem mam z tym kotem. Nie powinien on być inteligentnym stworzeniem, skoro już w serialu pokazane były koty i, bez obrazy dla nich, ale były one najzwyklejszymi domowymi pupilami.

Jakiś czas temu Disney w bajce „Zootopia” umieścił Gazellę, czyli postać, która jest przeniesieniem Shakiry do tego zwierzęcego świata. Hasbro najwyraźniej postanowiło zgapić trochę od Disneya. W „My Little Pony: The Movie” dostaniemy Się, której kucykowa wersja nazywa się Songbird Serenade.

Nie podobają mi się zabiegi tego typu. Może gdyby film był dłuższy (przynajmniej o połowę dłuższy), to na rzeczy tego typu starczyłoby czasu. A tak najpewniej dostaniemy niepotrzebne i wymuszone gagi, żeby tylko pokazać tę postać, mimo że poświęcony na to czas mógłby być znacznie lepiej wykorzystany. Jakby tego było mało, takie postacie często są przesadnie idealizowane, przez co nie da się ich normalnie oglądać.

I na sam koniec to, na co tak długo liczyłam, morskie kucyki. Ich wygląd jest znacznie lepszy, niż się spodziewałam. Są bardzo smukłe, przywodzą na myśli niektóre tropikalne rybki. Mimo że mają tylne płetwy, to zachowują one charakterystyczne cechy uczesania ogona. Jedyne, do czego mogą się przyczepić, to że nowe postaci są naprawdę śliczne, ale nie przypominają koników morskich, na co bardzo liczyłam.

Fabula

To nie ma prawa się udać z bardzo prostego powodu. Twórcy chcą umieścić zbyt dużo rzeczy w zdecydowanie za małej ilości czasu. Po trailerze widać, że film będzie aż przesycony treściami, które będą musiały być pokazane w zaledwie jedną godzinę i czterdzieści minut. Nie ma szans, żeby wykonać coś takiego bez ciągłego gnania z wydarzeniami, co jest bardzo męczące. Nie będzie też zbyt dużo czasu na zapoznanie się z nowymi postaciami i rasami.

Hasbro popełniło też kolejny duży błąd. Zdradziło już praktycznie całą fabułę oraz większość, jeśli nie wszystkie, ważne zwroty akcji. Szkoda, może jestem dziwna, ale ja tam lubię, jak film czymś zaskakuje. Tak duże spoilery raczej zabiorą ludziom, którzy, tak jak ja, nie lubią spoilerów, dużo radości z oglądania.



E for glorious EQUESTRIA



Największy w Polsce serwis
o tematyce My Little Pony

 nowinki

 fanarty

 fanfiki

 felietony

 i wiele innych



<http://www.fge.com.pl/>



Wywiad z Alberichem

Alberich jest jednym z najlepszych polskich pisarzy fandomowych. Jest autorem takich dzieł, jak "Zegary", "Opowieści o Szklanej Kuli" czy "Poszukiwacze Dawnej Chwały". Dzisiaj porozmawiam z nim o jego przygodzie z fandomem

» Zodiak

Zodiak: Jak czujesz się po zdobyciu Oscara?

Alberich: Wyśmienicie. Każdy pisarz, nawet tak amatorski i początkujący jak ja, cieszy się, gdy go doceniają.

Z: Jak zareagowałeś na wygraną?

A: Paradoksalnie bardziej skupiłem się na tym, czego nie udało mi się zdobyć, czyli nagrody za najlepszy wielorozdziałowiec i Slice of Life. Potem spojrzałem na to chłodnym okiem i zrozumiałem, że nagroda za fabułę to może nawet większe wyróżnienie. Styl nigdy nie był moją najmocniejszą stroną (w moim mniemaniu), cieszę się więc, że przynajmniej potrafię w swojej opowieści odpowiednio rozłożyć informację i dramatyzm, na tyle, by zainteresować czytelników.

Z: Czy wygrana dużo dla Ciebie znaczy?

A: I tak, i nie. Tak, bo jednak wygrywanie jest po prostu przyjemne, a jednak jest to już jakaś wykładnia moich umiejętności, postępów i wy-

robienia warsztatu. Nie, bo dużo jeszcze przede mną, a ja chciałbym pisać dużo lepiej niż na początku mojej bytności w fantomie.

Z: Skąd wziął się pomysł na "Zegary"?

A: Z inspiracji graniczącej z ludożerstwem. Jedną z moich ulubionych gier komputerowych, przygotówka „Zegarmistrz” włoskiego studia Trecision, wpłynęła na mnie tak bardzo, że zapragnąłem dostosować co ciekawsze pomysły z niej do swojego pierwszego, pełnokrwistego opowiadania. Gwoli ścisłości – nie posunąłem się do plagiatu, ostatecznie fabułę wymyśliłem sam, ale... „pożyczyłem” sobie co ciekawsze pomysły. I tak na przykład dysponujący sekretami i wpływami Zegarmistrz jest osią historii, a wszędzie dookoła pełno jest tajemnic i zegarów.

Z: Czy jesteś zadowolony z komentarzy, odpowiedzi i ogólnej reakcji na "Zegary"?

A: Było lepiej, niż mogłem przypuszczać. Wielu ludzi zaproponowało mi wsparcie i rady, pomogli mi z korektą i promocją opowiadania. W dodatku „Zegary” raczej się podobały, więc na odbiór też nie mam co narzekać. Dodam, że paru moich przyjaciół, z którymi kontakt utrzymuję do dzisiaj, znalazłem właśnie dzięki swoim tekstom.

Z: Które z Twoich opowiadań jest Twoim ulubionym, z którego jesteś najbardziej zadowolony?

A: Na jedno i drugie mam tę samą odpowiedź: „Opowieść o Szklanej Kuli”. Była najbardziej przemyślanym, dopracowanym i najciekawszym z moich opowiadań, z żadnego nie byłem tak bardzo zadowolony. Mam też spory sentyment do „Poszukiwaczy Ścieżek”, przez co czasem gryzie mnie sumienie, że nigdy ich nie skończyłem. Ogólnie im dłużej pisałem, tym bardziej ciągnęło mnie do Slice of Life’ów.

Z: Jakie jest Twoje zdanie na temat fanfikcji polskiego fandomu?

A: Może i nie jesteśmy tak potężni i wielcy, jak angielskojęzyczny fandom międzynarodowy, ale naprawdę nie mamy się czego wstydić. Polacy nie gęsi i swoje opowiadania mają, czasami naprawdę znakomite. Największą zaletą naszej literackiej sceny fandomowej nie jest jednak rozmach ani jakość opowiadań, tylko całe to wsparcie, jakie mogą otrzymać początkujący, jeśli tylko tego chcą. Korekty, komentarze, porady, czytelnicy, miłe słowa, konstruktywna krytyka – nie wiem, jak jest teraz, ale takiej ilości tych wszystkich skarbów ze świecą było szukać gdzie indziej.

Z: Jak to się stało, że zacząłeś pisać o kolorowych salcesonach?

A: Byłem nieziemsko podjadany fandomem, gdy do niego dołączyłem, w dodatku za nic na świecie nie chciałem być tylko jego biernym uczestnikiem i obserwatorem, chciałem coś robić, tworzyć, działać! Rysować nie umiałem, tworzyć muzyki też nie, a z pisaniem przynajmniej próbowałem w szkole. Tak oto pewnego wieczoru postanowiłem spróbować swoich sił i jakoś poszło. Prawdę mówiąc, sam nie spodziewałem się, że coś z tego wyjdzie, dopiero gdy miałem jakieś trzydzieści stron na dysku, uznałem, że może to całe pisanie o kucykach ma przyszłość...

Z: Czy pisanie coś Ci dało?

A: Pisanie nie dało mi pieniędzy, to mnie boli najbardziej. A tak na poważnie, to z całą pewnością. To twórcze i rozwijające zajęcie, pozwala rozwinąć swoje pióro, obycie i umiejętność budowania dramatu i opowiadania. Sądzę, że przez te kilka lat naprawdę wiele się nauczyłem. Nie są to może umiejętności, które jakoś na co dzień procentują w życiu, ale kto wie, może

w przyszłości uda mi się coś wydać? Wtedy będę mógł z całą stanowczością powiedzieć, że to po części dzięki fandomowi.

Z: Czy czytujesz inne fanfiki? Jeśli tak, to jakie?

A: Teraz już trochę mniej, ale tak, czytuję. Bardzo podobały mi się niemal wszystkie dzieła, które wychodziły spod pióra Madeleine, tłumaczenia aTOMa to była najwyższa półka, Dolar tworzył naprawdę kozackie rzeczy (zwłaszcza „Progressio ex Machina”), bardzo lubiłem „Silent Ponyville”, czasem też poznawałem nowych kolegów, gdy spodobało mi się któreś z przypadkowych opowiadań (jak „Relikt” Bafflinga).

Z: Jaki jesteś poza fandomem?

A: Chyba taki sam, jak i w fandomie, ale o to trzeba raczej pytać ludzi, którzy mnie znają, a nie mnie.

Z: Czym się zajmujesz?

A: Studiuję w trybie wiecznym, w tej chwili matematykę, w planach mam zostanie programistą. A poza zawodowo, cóż... Czasem zdarza mi się tworzyć poezję, innym razem pisuję sobie scenariusze prostych gier i Visual Novel. Tymi ostatnimi wolałbym się jednak pochwalić, jak wreszcie uda mi się coś zrobić.

Z: Jak znalazłeś się w fandomie?

A: Zawsze lubiłem animacje, a tak się parę lat temu złożyło, że moja siostra na fali Jjaya oglądała My Little Pony. Na początku robiłem sobie z tego jaja, wydawało mi się to piękną stratą czasu, potem jednak dałem się namówić na odcineczek i wciągnęło mnie. Dalej to już równia pochyła – odkrycie fandomu, własna twórczość, ponymeety, słowem: upadek.

Z: Który kucyk (bądź nie-kucyk) jest Twoim ulubionym?

A: Nic się pod tym względem nie zmieniło – Flutter-shy. Całkiem lubię też Rarity i Pinkie Pie.

Z: Skąd wzięło się przezwisko „Alberich”?

A: Potrzebowałem znaleźć sobie na szybko nick i zostało. Jako że „Pierścień Nibelunga” Ryszarda Wagnera uważam za jedną z najwspanialszych rzeczy, jaką wydał ten świat, wzięłem stamtąd Albericha. Wprawdzie nie utożsamiam się specjalnie z królem

karłów, który dla własnych ambicji i żądy władzy przeklął miłość, jednak nazwa została i raz, że nieźle się przyjęła, a dwa, że sam się do niej przyzwyczałem.

Z: Jak oceniasz nasz polski fandom?

A: Na bogatości.

Z: Co sądzisz o fanach Celestii?

A: Buuu, ciekawsze byłoby pytanie, co sądzę o fanach Luny. Nie mam nic ani do jednej, ani do drugiej księżniczki, jednak ludzie, których przyciągają jako swoich wielbicieli, bywają... zabawni. Fani Celestii jak dla mnie nieco za bardzo adorują władzę i jej boskie przymioty, jednocześnie pokrętnie umniejszając samych siebie. Tylko co może powiedzieć psychofan

Fluttershy, by nie zabrzmiało to jak hipokryzja lub głupota?

Z: Czy czytujesz nasz fanzin?

A: Raczej na wrywki, nigdy nie przeczytałem żadnego od deski do deski. Atom pisywał świetne artykuły w tej niefandomowej części, warto rzucić okiem na recenzje, zdarzają się też czadowe artykuły w dziale kucykowym. Smutno mi trochę, że już nie wydajecie na bieżąco żadnej serii poradników literackich, miałbym powód zaglądać tam częściej.

Z: To już koniec naszego wywiadu. Serdecznie dziękuję i pozdrawiam Albericha!

A: Pozdrawiam serdecznie!



NIE MOŻESZ SPAĆ PO NOCACH? NUDZI CI SIĘ? MASZ ZA DUŻO WOLNEGO CZASU?
MASZ DZIWNE POGLĄDY I CHCESZ SIĘ NIMI PODZIELIĆ Z LUDŹMI
KTÓRZY MAJĄ JESZCZE DZIWNIEJSZE?
NIE SZUKAJ DALEJ. TO JEST MIEJSCE DLA CIEBIE.



KUCYKOWYTEAMSPEAK.PL

NASZ TEAMSPEAK ZAPEWNIĄ:

PRZYJAZNE ŚRODOWISKO - TOLERANCYJNYCH UŻYTKOWNIKÓW.

WYKWAŁFIKOWANĄ ADMINISTRACJĘ, KTÓRA ZAWSZE ZNAJDZIE DLA CIEBIE CZAS.

NIEZAPOMNIANE ROZMOWY O SENSIE ŻYCIA - WIELE KANAŁÓW TEMATYCZNYCH.

KAŻDY ZNAJDZIE U NAS COŚ DLA SIEBIE :)

"PONIES... PONIES NEVER CHANGE."

Fallout
EQUESTRIA PL

**ROBIONE PRZEZ IDIOTÓW,
DLA IDIOTÓW.**

FALLOUT-EQUESTRIA.PL



Najgorsze w serialu

Przez większość czasu oglądanie "My Little Pony" jest dla mnie przyjemnością. Jednak nieraz zdarzyło się, że widząc, co się dzieje na ekranie, zaczęłam się zastanawiać, co kierowało twórcami, gdy umieszczali w serialu niektóre rzeczy.

» *Gray Picture*

Royal baby

W tym źrebięciu nie podoba mi się absolutnie wszystko, zaczynając od imienia i zwyczajnie brzydkiego wyglądu. Odcinki z nią są wyjątkowo irytujące, jak zresztą większość epizodów, w których jakąś większą rolę odgrywają dzieci. Flurry jest jednak znacznie bardziej wnerwiająca od pozostałych źrebaków, ponieważ ma niesamowicie potężne moce. To przecież tylko źrebię, dlaczego więc ma umieć zmusić do lewitacji wszystkie rzeczy w pomieszczeniu czy sprowadzić na Crystal Empire taką zimę, jaką widuje się tylko na północy Westeros? Wiem, wiem, można powiedzieć, że to dlatego, iż Flurry Heart jest alikornem. Ale nie sądzę, że jest to wystarczająco dobre wyjaśnienie. Przecież żaden z dorosłych alikornów, w tym sama Celestia czy Luna, nie potrafi dokonać takich potężnych rzeczy (lub ewentualnie potrzebuje do tego jakiegoś pradawnego artefaktu).

Oprócz tego, narodziny Flurry Heart pokazały, że alikornem można się tak po prostu urodzić. Osłabiło to wrażenie, jakoby alikorny miały być wyjątkową

i elitarną rasą. Wcześniej byłam pewna, że żeby nim zostać, potrzebna jest co najmniej potężna magia. Jeszcze jakby oboje jej rodzice mieli dostępny tylko dla wybranych zestaw róg plus skrzydła... Ale nie, Shining Armor jest tylko zwykłym jednorożcem (zresztą Kredens też nie jest jakoś szczególnie potężnym alikornem).

Tęczowe podmieńce

Lubiłam te stare podmieńce. Miały dość mroczny wygląd, jak na bajkę dla małych dzieci, wszystkie były mniej-więcej identyczne i ślepo podążały za swoją królową. Idealne sługusy czarnego charakteru. Ich umiejętność przybierania wyglądu innego kucyka była wprost genialna i według mnie dawała duże możliwości do tworzenia naprawdę ciekawych odcinków. Wiem, że cały ten serial opiera się w dużej mierze na tym, że magiczna siła przyjaźni jest w stanie zmienić i naprawić dosłownie wszystko. Mimo to uważam, że jak już podmieńce musiały być zmienione w te dobre, tęczowe jeleniopodobne stwory (tak, zostałam już uświadomiona, że to tak właściwie nie są jelenie, tylko jakieś żuki), to twórcy mogli najpierw zrobić jeszcze kilka odcinków ze złymi odmieńcami.

Całe szczęście, że Chrysalis nie zmieniła się w dobrą postać. Tak właściwie to do odcinka „To Where and Back Again” można sądzić, że nie jest ona tak naprawdę zła. Owszem, zniewala Shining Armora i zamyka w jaskini Cadance i Twilight oraz zarządza atakiem na Canterlot, ale przecież robi to, żeby wyżywić swoich

poddanych. Z perspektywy podmieńców jest dobrą władczynią, która dba o swój lud. Ale to tylko zakładając, że nie wiedziała, iż podmieńce mogą się żywić miłością wytwarzaną przez nich samych. Jeżeli wiedziała (a biorąc pod uwagę złożoność uknutego przez nią planu przejęcia Canterlot, można przypuszczać, że Chrysalis jest na tyle inteligentna, żeby to wiedzieć), ale mimo to nie przekazała tej wiedzy swoim poddanym, to nie tylko oznacza, że od początku była prawdziwie zła, ale też to, że jest największym złodupcem ze wszystkich dotąd pokazanych w MLP:FiM. Kończę już tę przydługą dygresję i wracam do głównego tematu.

Bo to zły ogier był

A skoro już o czarnych charakterach mowa, to uważam, że Sombra jest najgorzej wykreowaną złą postacią w MLP:FiM. Wypowiada się dwa, może trzy razy, a i tak te jego kwestie nie są specjalnie elokwentne, tylko zawsze składają się z zaledwie kilku wyszczynanych słów. Poza tym przez większość czasu tylko ryczy, syczy, charkocze i wydaje inne, ciężkie do jednoznacznego określenia dźwięki. Jedyne, co tak naprawdę o nim wiemy, to że kiedyś był inteligentny. Głupi kuc raczej nie ukryłby Kryształowego Serca w tak sromplikowany sposób ani nie zniewoliłby całego królestwa. Po jego powrocie musiał stracić tę swoją inteligencję, bo w jego próbach ponownego przejęcia Crystal Empire zdecydowanie brakuje jakiegokolwiek finezji czy przemyślenia planu działania. Może to skutek uboczny tysięcletniego zamknięcia w lodzie.

W tym miejscu pozwolę sobie na kolejne drobne odejście od zasadniczego tematu. Przed pisaniem tego artykułu jeszcze raz obejrzałam pierwszy i drugi odcinek sezonu trzeciego i naszała mnie pewna myśl. A może w tym odcinku w ogóle nie ma Sombry? Już wyjaśniam. Na samym początku odcinka Celestia opowiada, jak tysiąc lat temu (a tak właściwie to czemu te wszystkie epickie rzeczy działy się akurat wtedy?) Sombra przejął Crystal Empire oraz że to Księżniczki go pokonały. Widzimy też, że Celestia potrafi używać takiej samej mrocznej magii jak Sombra. Następnie Celestia wysłała Twilight, żeby w ramach testu znalazła sposób na jego pokonanie oraz mówi jej, że jest pewna, że ta da radę tego dokonać. Do tego do pomocy daje jej niezbyt udanego alikor-

na, jakim jest Kredens. Rodzi się pytanie, czemu miałyby ona wysłać swoją uczennicę na tego rodzaju test? Czemu powierza los Equestrii w jej kopyta, skoro wraz z Luną mogłyby powstrzymać Sombkę? Albo Księżniczki przez lata osłabły i nie mogłyby pokonać tego przeciwnika, albo całość faktycznie była tylko testem, udawanym niebezpieczeństwem, sprytnie przygotowanym przez Celestię, żeby sprawdzić, czy jej uczennica jest już gotowa na następującą pod koniec sezonu zmianę w alikorna.

Kuce nie są zbyt przywiązane do rodziny

Od razu zaznaczę, że lubię, jak w serialu pojawiają się nowe postacie, rodziny znanych już kucyków. Problemem natomiast jest to, w jaki sposób są one dodawane. Nagle jest wrzucany jakiś członek bliskiej rodziny, z którym dany kucyk ma być mocno związany, ale jednocześnie nigdy wcześniej nie było o nim nawet najmniejszego wspomnienia. Mówię tu na przykład o ukochanym braciszku Twi, którego przecież ona ma tak kochać, tak być z nim blisko, ale jednocześnie nie wiedziała, że on się w ogóle oświadczył (i to z księżniczką! przecież wszystkie gazety w Equestrii powinny o tym pisać), o rodzicach Fluttershy czy tym dodatkowym rodzeństwie Pinkie (Internet podpowiada, że nazywają się one Limestone i Marble Pie).

W opozycji do wyżej podanych przykładów są rodzice Rainbow Dash. Owszem, wcześniej nie wspomina ona o swoich rodzicach ani razu, ale jak się dowiadujemy z odcinka, jej relacje z nimi są dość specyficzne. Wobec czego wydaje się zrozumiałym, że ich nie odwiedza, nie pisze do nich zbyt często, czy nawet o nich nie wspomina w rozmowie.



MANAD.PL



**W NASZYM SKLEPIE ZNAJDZIECIE WIELE
INTERESUJĄCYCH GADŻETÓW!**

**REALIZUJEMY ZAMÓWIENIA
Z WŁASNYM WZOREM NA:**

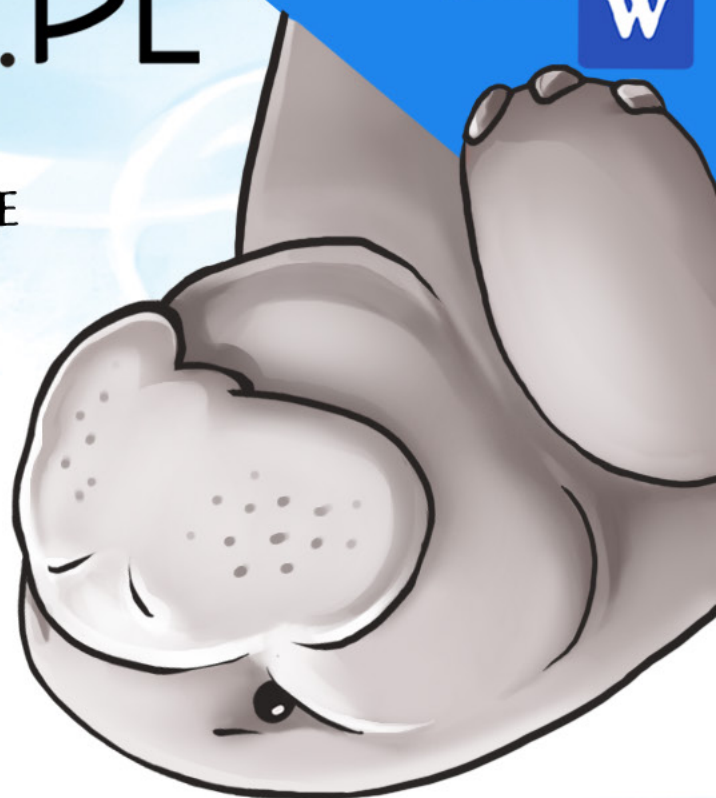
- **PODKŁADKI**
- **PRZYPINKI**
- **NASZYWKI**
- **KOSZULKI**
- **KUBKI**

I WIELE INNYCH!

**WSPIERAMY OD STRONY
TECHNICZNEJ ORGANIZACJĘ
IMPREZ TYPU MEET/KONWENT
O DOWOLNEJ TEMATYCE**

WYPOŻYCZAMY TEŻ SPRZĘT:

- **KONSOLETY/MIXERY**
- **NAGŁOŚNIENIE**
- **OKABLOWANIE**
- **OŚWIETLENIE**
- **MIKROFONY**





Głęboka hiperanaliza serialu

Demografia Equestrii

Witajcie ponownie w Głębokiej Hiperanalizie Serialu! W tej części pomówimy o statystykach, którymi można opisać społeczeństwo Equestrii. MLP nie daje nam zbyt wielu przesłanek, dlatego w tej części jeszcze bardziej niż zazwyczaj będę się opierał na domysłach i analogiach do świata rzeczywistego.

» Cahan

Struktura płciowa

Pewnie wszyscy już zauważyli, że w serialu występuje więcej klaczy. Dlatego niektórzy snują teorie o tym, że w Equestrii panuje wielka dominacja jajników. Osobiście uważam, że to bzdura. Dominacja klaczy nad ogierami była najbardziej widoczna w pierwszych sezonach serialu, później twórcy dodawali coraz więcej postaci męskich, dążąc do wyrównania. Przypominam też, że kiedyś widok pięciu Minuette w jednym kadrze był czymś normalnym, a klacze, które wyglądały na dorosłe w retrospekcjach z dzieciństwa Mane 6, później okazały się ich rówieśniczkami.

Zakładając, że kucyki z serialu są ssakami i rozmnażają się jak ssaki, to stosunek klaczy do ogierów powinien wynosić 1:1... Tylko że to tak nie działa. U ludzi rodzi się więcej chłopców niż dziewczynek. Za to wśród dziewczynek panuje mniejsza umieralność oraz większa oczekiwana długość życia. W efekcie w okresie reprodukcyjnym stosunki się wyrównują. Jednak przez cały czas różnice są niewielkie.

Tymczasem u jeleniowatych przy niekorzystnych warunkach bytowych rodzi się więcej samic, ponieważ jest to korzystniejsza inwestycja na przekazanie genów. Samce muszą zdobyć samicę, natomiast ta zawsze znajdzie chętnego kandydata. Dodatkowo jeden samiec może w danym roku zapłodnić wiele samic, ale nie ma gwarancji na to, że spłodzi jakiegokolwiek młode.

Niestety, ale nie widziałam nigdzie badań i statystyk na temat koni, jednak podejrzewam, że nie ma tu wielkich różnic między nimi a ludźmi i jeleniowatymi. W zasadzie wszystkie dorosłe klacze się rozmnażają, jednak robią to tylko nieliczne ogiery – w danym stadzie taki przywilej ma tylko jeden ogier. Reszta skupia się w grupach rówieśniczych, by przeżyć. Ogier alfa zmienia się, kiedy przyjdzie inny, który pokona go w walce. Nowy władca haremu czasami zabija źrebaki poprzednika.

Dobra, ale pastelowe osiołki to bardziej ludzie niż konie – mają uczucia wyższe, są inteligentne i wykształciły cywilizację. Dodatkowo wszystko wskazuje, że żyją w trwałych, monogamicznych związkach. Mimo że zakładam, iż występuje u nich ruja, to nie musi się ona objawiać w tak widowiskowy sposób, jak u innych zwierząt. Dlatego przyjmijmy tu ludzkie standardy. Z tego wynika, że ogiery stanowią mniej więcej połowę populacji Equestrii, więc typowy brony po przybyciu do tego świata miałby wybite zęby, a nie harem.

Oczekiwana długość życia

Nie da się ustalić, jak długo żyją kucyki ani kiedy osiągają dojrzałość płciową. W ogóle dorosłość nie jest sztywną granicą i ciężko powiedzieć, kiedy się ona zaczyna. Jeśli przyjmujemy, że z chwilą uzyskania zdolności do rozmnażania, to wówczas za dorosłe uchodziłyby trzynastoletnie dziewczynki, a to przecież absurd. Za to przy wzięciu pod uwagę zakończenia wzrostu, dorosłość u ludzi zostałaby osiągnięta w dwudziestym roku życia. Jest to kwestia kultury, a u kuców mogłoby to nawet być zdobycie znaczka.

Ciężko też wypowiadać się o latach, w końcu nie wiemy, ile trwa rok equestriański. Ich 1000 lat to może być nasze 1240 czy 687. Dlatego nawet liczenie świeczek na tortach czy wypowiedzi postaci niewiele mówią. Można się za to zasugerować długością trwania dzieciństwa. Organizmy długowieczne zazwyczaj powoli dorastają – rekiny polarne stają się dorosłe w wieku ponad stu lat, a spokojnie dożywają czterystu, jeśli nie więcej.

Ciąża u dużych ssaków trwa długo. U koni jest to jedenaście miesięcy, u ludzi dziewięć, u słońi dwadzieścia dwa, a u płetwala błękitnego rok. Ludzie, płetwale i słońie mają podobną długość życia, u koni jest ona dużo niższa. Najdłużej żyjącym ssakiem jest wal grenlandzki (dwieście lat), u którego okres ciąży trwa ponad rok. Na tych przykładach widać, że nie istnieje związek między długością ciąży a długością życia i czas trwania okresu płodowego zależy raczej od złożoności i wielkości organizmu.



Tymczasem długie dzieciństwo sugeruje długie życie. Zauważcie, że kiedy pojawia się Flurry Heart, mija przynajmniej rok od narodzin bobasów Cake, a te dalej są niemowlakami. Oznacza to, że kuce rozwijają się stosunkowo powoli, przynajmniej na pewnym etapie życia. Jednak zważywszy na to, że widzieliśmy je w wielu stadiach rozwojowych, to chyba proces ten nie odbiega bardzo od tego, który panuje u ludzi.

Co prawda małe kucyki są dużo bardziej samodzielne niż ludzkie niemowlęta, ale to typowe dla kopytnych, a przynajmniej tych współczesnych. W zasadzie to pod względem ewolucyjnym koniom bliżej do waleni niż ludzi. Walenie wywodzą się bowiem od drapieżnych parzystokopytnych, a parzysto- i nieparzystokopytne miały wspólnego przodka (co prawda wszystko na tej planecie ma jakiegoś wspólnego przodka, ale to chyba możemy pominąć).

Serialowe źrebaki są bardziej podobne do małych orek niż do niemowląt. Samodzielnie się poruszają i wykazują większą świadomość niż mały człowiek. Mimo wszystko rozwijają się powoli, co sugeruje, że kuce są długowieczne i bliżej im do wala grenlandzkiego niż Homo sapiens sapiens. Na to wskazywałyby też widoczny upływ czasu w Ponyville od założenia aż do teraz.

Jednak starszych kucyków pojawia się zadziwiająco mało (pewnie dlatego, że twórcom nie chce się ich projektować), a to może wskazywać na dwie rzeczy: szybko umierają z powodu chorób (w Equestrii chyba mają płatną służbę zdrowia, skoro Applejack zbierała na biodro dla babci) czy ataków potworów lub nastąpił wyż demograficzny.

Źrebność

Tutaj moje domysły oprę tylko na postaciach, których rodziny poznaliśmy, czyli przede wszystkim księżniczkach i Mane 6. Wydaje się, że kucyki preferują rodziny wielodzietne – z głównych postaci tylko Rainbow Dash jest pewną jedynaczką. Cadance, Starlight i Scootaloo prawdopodobnie również nie posiadają rodzeństwa. Tymczasem Pinkie Pie ma trzy siostry, Luna siostrę, Fluttershy brata, Twilight brata, Applejack brata i siostrę, Rarity siostrę. Co prawda nie jest to grupa reprezentatywna, a i w serialu widzieliśmy wiele innych rodzeństw. Za to praktycznie nie pojawiają się pewni jedynacy. Oczywiście, łatwiej pokazać, że ktoś ma liczną rodzinę, niż że jej nie ma i to również biorę pod uwagę.

Jednak w przypadku matek Mane 6, średnia ilość źrebiąt wynosi 2,(3), co odpowiada Kazachstanowi z 2014 roku, o ile współczynnik dzietności dla całego kraju jest taki sam, a raczej nie jest. Czemu? Brałam pod uwagę tylko sześć klaczy i w dodatku wszystkie są matkami. Współczynnik dzietności określa ilość urodzeń przypadającą na kobietę w pewnej grupie wiekowej (wieku rozrodczym, ale nie jest to do końca prawda).

Poza tym część klaczy może nie chcieć lub nie móc się rozmnażać. Jednak populacja Equestrii zdaje się rosnąć (przy czym nie widać, by społeczeństwo się starzało i chyba jednak zdecydowana większość źrebiaków dożywa dorosłości), więc współczynnik dzietności powinien być wyższy niż 2,15. Szczególnie że w serii często pojawiają się rodziny wielodzietne (Pie, Apple, rodzina Sky Stingera, Hooffields, MacColts). Znaczy to, że przeciętna klacz ma prawdopodobnie dwoje albo troje źrebiąt.

Wydaje się również, że kuce ziemne rozmnażają się najintensywniej i najbardziej dbają o więzy rodzinne. Nie znaczy to, że jednorożce czy pegazy są wyrodnymi rodzicami – zwłaszcza po Januszu i Grażynie Cloudsdale widać, że tak nie jest. Po prostu mają słabiej zaznaczoną strukturę klanową.

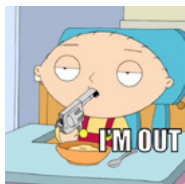
Struktura rasowa

W zależności od miasta występują różne stosunki między ilością pegazów, jednorożców i kartofli. W Ponyville panują te ostatnie, w Canterlot większość stanowią jednorożce, a w Cloudsdale mieszkają chyba same pegazy. Jednak kartofli prawdopodobnie jest najwięcej. Czemu? Ponieważ chętnie się mnożą i produkują żywność, stanowiąc podstawę społeczeństwa feudalnego.

Oczywiście nie tylko ziemniaki pracują w gastronomii i nie wszystkie pyry zostają rolnikami czy kucharzami. Jednak serial wyraźnie sugeruje, że kucyki ziemne mają największe predyspozycje do tych prac oraz np. robót na budowie. Logicznym jest, że musi ich być najwięcej. Teżę zdaje się potwierdzać wygląd Manehattanu, chyba największego miasta, jakie pojawiło się dotąd w serii. Jego mieszkańcami są głównie... kartofle.

Prócz kuców w Equestrii spotyka się również inteligentnych przedstawicieli innych gatunków. Na wyróżnienie zasługują gryfy i osły, a być może również zebry i minotaury. Tych ostatnich jest jednak zbyt mało. Smoków i diamentowych psów nie liczę, ponieważ zdecydowanie nie należą one do poddanych Księżniczki. Nie-kuców spotyka się raczej niewiele i wyróżniają się na tle rodowitych Equestrian.





Matyas Corra – przez większość nazywany po prostu Corra. Człowiek, który je węgiel na śniadanie, obiad i kolacje. Pochodzi z krainy węglem i miazem płynącej. Serialu nie ogląda od drugiego sezonu a Fandom traktuje jako kabaret. Zazwyczaj bardzo spokojna osoba która nie ukrywa, że lubi być podła. Ogromny fan twórczości Sienkiewicza.

Seria Silent Hill

Jak wiele osób lubi horrory? Książki, filmy, gry, tyle mamy możliwości, aby znaleźć coś, co będzie nas przerażać. Ale o czyni horror dobrym? Czy jest to to, że przeraził nas jumpscare'em i już wykonał swoją pracę? Czy też atmosfera, która nawet długo po zakończeniu dalej nas utrzymuje w niepewności, czy w ciemności nie czeka na nas jakaś poczwara? Powiem wam, że w moim przekonaniu zdecydowanie jest to ten drugi czynnik. Dobry horror w mojej opinii to film, po obejrzeniu którego boję się zasnąć bez światła, książka, która tworzy obrazy w mojej głowie, które będą mnie nawiedzać w koszmarach, gra, która tak mnie przeraża, że boję się ją włączyć, aby dalej kontynuować.

I właśnie o takiej serii gier chciałbym dzisiaj wspomnieć, o klasykach, które w ostatnich latach straciły rozpęd, który utrzymywały przez bardzo długi czas. Mimo doczekania się dwóch średnich filmów, wielu komiksów i aż 8 gier w głównej linii, Silent Hill w ostatnich latach nie jest tak bardzo popularny, jak był kiedyś.

I jest dosyć przykra rzecz, że cudowne dzieło Team Silent zostało zepchnięte na drugi plan, włączając w to nigdy niewydane "Silent Hills". Miał je tworzyć świetny twórca gier Hideo Kojima wraz z niesamowitym reżyserem Guillermo del Toro, ale zostało ucięte przez Konami, a sam Kojima rozstał się z tą firmą raz na zawsze.

Co według mnie jest cudowne w tych grach? Podejście do tematu horroru. Zamiast straszyć nas wyskakującymi nagle potworami, które wrzeszczą, głównym aspektem Silent Hill zawsze była atmosfera. Otaczający nas świat, który przechodził z zamglonego miasteczka do rozpadającego się i gnijącego świata opartego na strukturze fabryk i zakładów metalurgicznych. Gdzie w jednej chwili ponura szkoła z pustymi klasami zamieniała się w przerażające miejsce, w którym wisiły ciała, na ścianach były ślady zaschniętej krwi, a za kratami

widać było szpitalne łóżka z trupami okrytymi zakrwawionym płótnem. Dziwne monstra nie wyskakiwały i nie robiły BUU, jak nieraz w dzisiejszych horrorach można spotkać, a podchodziły bardzo powoli. Widać je było już z pewnej odległości, ale sam ich wygląd oraz trudność walki przerażały człowieka. Szybka decyzja, czy będziemy walczyć bronią z bliska, ryzykując obrażenia, użyjemy broni palnej, tracąc cenne naboje, czy też po prostu uciekniemy, decyzje, które musieliśmy podejmować w bardzo szybkim czasie, to budowało prawdziwe emocje i strach przed następną potyczką. Nie wiedzieliśmy, czy jeżeli teraz uciekniemy do jakiegoś pomieszczenia, to za drzwiami nie czeka na nas kolejny przeciwnik. Muzyka, która towarzyszyła nam przez cały czas, trzymała nas w napięciu i nie pozwalała na minutę uspokojenia. Trochę jak w Dark Souls, moment, w którym widziałem miejsce zapisu, był dla mnie ulgą i radością, ponieważ wiedziałem, że przez chwilę mam spokój od potworów czekających na mnie w każdym możliwym momencie.

Team Silent wyprodukował pierwsze 4 gry z serii, następne wyszły od amerykańskich twórców i widać w nich już nieco inne podejście do samego straszenia. Uciekanie i unikanie przeciwników ustąpiło miejsca celowemu atakowaniu i rzucaniu się na nich, gdyż dało się ich utrzymać w ciągłym ogłuszeniu niekończącymi się atakami. Atmosfera całego miasteczka ucierpiała i mimo dalej utrzymywania poczucia niepokoju nie potrafiła w człowieku wzbudzić takiego strachu, jak w pierwszych czterech częściach. Co nie zmienia faktu, że chciałbym, by więcej osób zainteresowało się tą serią. Jej aspekty, zarówno psychologiczne, jak i grove, dalej są warte polecenia. I mimo tego, że gry swoje lata mają, dalej wzbudzają niesamowite emocje u nowych graczy. Tak więc z całego serca polecam wam Silent Hill jako produkcje, które mimo upływu czasu dalej są w stanie człowieka przestraszyć.



Hrabia Monte Christo

Autor: Aleksander Dumas

Chyba wszyscy już znacie filmiki od Ink Potts stworzone do muzyki z musicalu "Hrabia Monte Christo". To właśnie one skłoniły mnie do sięgnięcia po powieść Aleksandra Dumasa w celu poznania całej tej historii, która wydała mi się całkiem interesująca. Nie powiem, by była to książka nudna, bo naprawdę mnie wciągnęła, jednak dostrzegłam w niej sporo mankamentów i dlatego postanowiłam napisać tę recenzję. Oczywiście, że wiele tych wad traci na znaczeniu, kiedy spojrzymy na to, że mamy do czynienia z powieścią z XIX wieku. Dlatego potraktujcie to jako pokaz tego, jak słowo pisane starzeje się wraz z upływem czasu.

» *Cahan*

Pozwólcie, że najpierw wspomnę o okolicznościach, w jakich Dumas napisał "Hrabiego", ponieważ są one dość ciekawe. Po szczegóły odsyłam do Wikipedii, tu wspomnę tylko o ogółach. Aleksander dostał zlecenie od wydawcy na powieść przygodową z akcją osadzoną w Paryżu. Jeśli chodzi o inspirację, to składają się na nią podróże z Napoleonem Józefem Bonaparte na Elbę i Pianosę oraz... plagiat. Tak, moi mili, ale "Hrabia Monte Christo" zawiera tak dużo topornych i ewidentnych zapożyczeń, że można go nazwać dziewiętnastowiecznym "Królem Lwem".

Akcja powieści rozgrywa się przede wszystkim w Marsylii, Rzymie i Paryżu, a osadzona jest między rokiem 1815 a mniej więcej 1840. Zde-

cydowanie "Hrabiego Monte Christo" można potraktować jako ciekawy wgląd w życie ludzi z tamtych czasów oraz pewne spojrzenie na wydarzenia historyczne z tamtego okresu. Oczywiście nie rekomenduję tej książki jako podręcznika do historii, jednak pewne wydarzenia i postacie są jak najbardziej prawdziwe.

Styl pisania pana Dumasa może wydawać się nieco przyciężki dla współczesnego odbiorcy, jednak to wrażenie może być spowodowane tłumaczeniem, ponieważ nie znam francuskiego wystarczająco dobrze, by czytać powieści napisane w tym języku. Jednak co jakiś czas pojawiają się "tasiemcozдания", a gwałtowne skoki akcji nie sprzyjają płynnemu czytaniu. Przykład? Wyobraźcie sobie, że właśnie znajdujemy się w domu ojca Edmunda Dantesa. Przyszły hrabia Monte Christo rozmawia ze swoim ojcem i Kacprem Caderousse i nagle ni stąd, ni zowąd mamy dialog, który toczy się między Danglarsem i Kacprem na ulicy.

Fabula jest bardzo ciekawa, szkoda tylko, że zerżnięta z innych książek. Autor natrudził się głównie, nieco zmieniając postacie i miejsca akcji. W sumie to trochę przykre, że to "Hrabia" się wybił, a nie "Wspomnienia wydobyte z archiwów paryskiej policji". Jednak Dumas generalnie był człowiekiem mało kreatywnym, zważywszy na to, jak chętnie zżynał od innych, nazywając to inspiracją.

Dla tych, którzy kompletnie nie wiedzą, o co chodzi: marsylski żeglarz Edmund Dantes w dniu swoich zaślubin z piękną Mercedes zostaje oskarżony o bonapartyzm i zamknięty za to w zamku d'If na dożywocie. Dzieje się tak na skutek donosu napisanego przez Danglarsa i dostarczonego przez Fernanda Mondego. Podczas przesłuchania przez Gerarda de Villeforta okazało się bowiem, że donos był prawdziwy, a Edmund w swej naiwności został wplątany w spisek. W zamku d'If Dantes siedzi przez czternaście lat, a ksiądz Faria z sąsiedniej celi w tempie ekspresowym uczy go wiedzy o świecie i robi to tak skutecznie, że aż sztucznie. Do tego mówi Edziowi, że na wyspie Monte Christo jest skarp Spadów. Dantes w końcu ucieka z więzienia, a dzięki skarbowi staje się bajecznie bogaty i mści się na tych, którzy go skrzywdzili.

Zarzuty mam raczej do postaci, które ciągną fabułę do przodu, niż do niej samej jako takiej – choć ilość niezwykłych zbiegów okoliczności jest za duża. Oczywiście, że wówczas w literaturze panowały inne standardy, jednak wiele rzeczy aż bolało. Przede wszystkim to, że hrabia Monte Christo nie był jakoś szczególnie inteligentny, tylko jego otoczenie doznawało nagłej lobotomii. Współcześnie jest to typowe dla powieści, w którym głównego bohatera określa się mianem Mary Sue.

W zasadzie to Edmund Dantes jest idealnym przykładem Mary Sue i to zarówno przed, jak i po przemianie. Przyznam, że nie udało mi się polubić tej postaci. Zaczyna jako dobry, szczęśliwy, piękny i charyzmatyczny młody człowiek, którego kocha szef, ojciec, piękna narzeczona i marynarze. Do tego jest wysportowany i żegluje jak nikt inny. I tylko źli zazdrośnicy próbują zniszczyć mu życie. Dantes jest postacią tak płaską i wyidealizowaną, że jest bardzo nierealny. Po ucieczce z zamku d'If zamienia się w bogacza i geniusza, który jest z jednej strony żądny zemsty, a z drugiej opiekuje się swoimi przyjaciółmi i ich rodzinami. Znowu wszystko mu się udaje.

Mercedes cierpi na tę samą bolączkę, co i inne pozytywne postacie kobiece – jest dobra, miła, mądra, ładna i zakochana do szaleństwa w swoim ukochanym. Brakuje jej jakichkolwiek wyróżniających cech charakteru. Na tę samą przypadłość cierpią Walentyna de Villefort oraz Hayde. Ciekawa jest za to postać Eugenii Danglars, która

ma silny charakter, potrafi wyrazić własne zdanie, jest piękna i homoseksualna. Młodzi mężczyźni się jej boją, bo... jest asertywna. To wiele mówi o tym, jak widziano kobiety w XIX wieku – jako ładny dodatek do mężczyzny.

Paradoksalnie najlepiej napisaną postacią kobiecą obok Eugenii jest chyba Heloiza de Villefort, która jest oparta na prawdziwym trucicielu, więc to pewnie dlatego. Chyba tylko jej świat nie kręci się wokół jakiegoś faceta. Heloiza chciała, żeby jej syn Edward był bardzo bogaty, więc próbowała otruć wszystkich, którzy stoją jej na drodze do celu. Jest ona chyba najbardziej negatywną postacią w całej powieści.

Wrogowie Edmunda wypadają różnie i mają różne motywacje. Danglars po prostu był zazdrosny o to, że Dantes ma zostać kapitanem "Faraona". Jest to postać, dla której nie liczy się nic prócz złota. Nie obchodzi go szczęście córki ani nawet to, że żona go zdradza. Dlatego też z trójki antagonistów jego jest najtrudniej polubić, ponieważ jego zalety zaczynają i kończą się na przedsiębiorczości.

Za to Fernand Mondego, czyli hrabia de Morcerf, wypada dużo ciekawiej. Jest to kuzyn Mercedes, który zakochał się w niej do szaleństwa. Jednak Katalonka nie zwracała na niego uwagi, ponieważ wolała Edmunda mimo wszystkiego, co Fernand dla niej uczynił. Jednak nasz antagonistą uciekł z friendzone, usuwając Dantesa z drogi i choć był kanalią i zdrajcą, to dobrze traktował żonę i syna.

Z Gerarda de Villeforta często próbuje się zrobić karierowicza. Jednak mimo wszystko można o nim powiedzieć, że zależało mu na rodzinie. Prokurator z początku chciał ułaskawić Dantesa, jednak bał się, że w świat poszłaby informacja o tym, że jego ojciec bierze udział w spisku mającym przywrócić Napoleona na tron. Bowiem to właśnie stary de Villefort był adresatem listu, który miał przekazać Edmund. Sądząc po tym, jak później wyglądały jego relacje z Noirtierem, to ten nie był mu obojętny, mimo dzielącej ich różnicy zdań – Gerard był rojalistą. Gorzej, że nie potrafił się zmierzyć z falą zabójstw we własnym domu, z obawy częściowo przed wybuchem skandalu i częściowo przed tym, że musiałby skazać kogoś ze swoich najbliższych.

Interesującą postacią jest Kacper Caderousse, który był przy tym, jak Mondego i Danglars spiskowali przeciwko Dantesowi i nawet próbował protestować, ale mu zbyt nie wyszło, ponieważ był pijany. Szewc, który później został karczmarzem, przez długi czas jawił się jako człowiek zazdrosny, ale w gruncie rzeczy poczciwy – typ, który ponarzeka, obgada za plecami, ale potem mu przechodzi i jest ok. A później nagle postać zmienia się w kawał gnoja. Wybaczcie mi to słownictwo, ale po prostu nagle bohater przechodzi drastyczną przemianę. Moim zdaniem to strasznie zabija potencjał.

Wspomnę jeszcze o Albercie de Morcerf, ponieważ syn Mercedes i Fernanda jest idealnym przykładem na to, jak ludzie w otoczeniu hrabiego nagle tracą mózgi. Alberta poznajemy po raz pierwszy podczas jego wizyty w Rzymie, gdzie udał się na karnawał razem ze swoim przyjacielem Franzem d'Epina. Na miejscu panowie odkryli, że jest problem z załatwieniem różnych rzeczy, w czym pomógł im tajemniczy sąsiad z hotelu, wydając na nich bająnskie sumy oraz zaprzyjaźniając się z Albertem. Między innymi pokazywał mu egzekucję i opowiadał, jakie to znakomite widowisko, czym oczarował młodzieńca. Później chłopak zostaje porwany przez obwiesiów Luigiego Vampy, ale wiedzący o powiązaniach hrabiego z półświatkiem Franz prosi Monte Christa o pomoc. W efekcie postrach Rzymu przeprasza Alberta, który jest bardzo wdzięczny hrabiemu i zaprasza go do Paryża. I tutaj ujawnia się głupota tej postaci, ponieważ pomimo ostrzeżeń Franza Albert nie widzi, że z Monte Christem jest coś nie tak. Bardzo bogaty człowiek, który ma własną wyspę, statki, służy mu przemytnicy i zbójcy oraz uwielbia egzekucje to w końcu wspaniały materiał na przyjaciela, czyż nie?

Na koniec powiem, że filmy bardzo różnią się od książki, która ma dość dziwne zakończenie, mocno powiązane z postacią Hayde, pięknej Greczynki i córki Alego Paszy. Jej wątek jest strasz-

nie irytujący i powstał chyba tylko dlatego, by pokonać Fernanda. W efekcie Hayde, która historycznie mogła być najwyżej bękartką Alego, jest księżniczką. Zresztą nie jestem pewna, czy powinna być Greczynką, ponieważ Lew z Janiny był możnowładcą osmańskim, który zbuntował się przeciwko sułtanowi. W ogóle postać Ali Tebelima jest przedstawiona jednoznacznie pozytywnie, pewnie po to, by zrobić z Mondego straszego łajdaka.

Dlatego jeśli szukasz przyjemnej lektury i chciałbyś liźnąć nieco klasyki, to polecam "Hrabiego Monte Christo". Mimo że książka bardzo się zestarzała, to wciąż potrafi wciągnąć. Język bywa mocno przestarzały, ale nie utrudnia to lektury i stanowi okazję do poznania nowego słownictwa. Powieść skłania również do refleksji nad tym, czy należy odpłacać złem za zło. Odpowiedź na to pytanie, podobnie jak autor, pozostawiam Wam.





Recenzja: Dunkierka (2017)

Christopher Nolan dotychczas zachwyił nas "Incepcją", nowymi Batmanami i "Interstellarem". Nie były to dzieła pozbawione wad, ale widać było, że pomimo tego reżyser kręci naprawdę dobre kino. Jak jednak sprawa się ma z jego najnowszym dziełem – „Dunkierką”?

» *Verlax*

Jest rok 1940, drugi rok wojny światowej. Po katastrofalnie rozegranej kampanii w Belgii i Francji, połączone siły brytyjskie i francuskie zostały zamknięte w kotle, którego centrum stanowi nadmorskie miasto Dunkierka. Upadek Francji jest nieunikniony, dlatego też tak ważne jest teraz, by jak najwięcej brytyjskich żołnierzy powróciło do domu, by móc powstrzymać potencjalny atak Niemiec na Wyspy. Jak się jednak błyskawicznie okazuje – ewakuacja takiej ilości żołnierzy to prawdziwie monstrualne zadanie.

"Dunkierka" to piękny pokaz zdolności Nolana do tworzenia naprawdę pięknych scenerii. Chociaż można określić ten film jako monumentalny, to nie wielkie eksplozje i walki grają tu główną rolę. Zamiast tego mamy piękne, ale jednocześnie długie kolejki żołnierzy czekających na plaży na okręty, których nie ma. Często w filmie nie dzieje się nic spektakularnego, ale i tak tworzona atmosfera jest fenomenalna. Nie ma wątpliwości, że "Dunkierka" w tym kontekście to film doskonały. Jeśli wskazać tylko jedną, najważniejszą zaletę tego filmu, to definitywnie jest to doznanie tego

przybicia, smutku i cierpienia próbujących uciec z Dunkierki. Oprawa audiowizualna jest filarem, na którym opiera się całe to dzieło.

W swojej konstrukcji, film nie ma tak naprawdę głównego bohatera. Zamiast tego widzimy niejako różne sceny z perspektywy różnych postaci – żołnierzy, oficerów, pilotów, marynarzy czy cywili. Akcja dzieje się na lądzie, na morzu i w powietrzu. Poszczególne wątki też nie dzieją się perfekcyjnie chronologicznie. Czasami montaż działa cuda i mamy dobre przejście od bohatera do bohatera, a czasami mamy wyjątkowo walący po oczach zjazd ze sceny w nocy do sceny za dnia, bez wyjaśnienia. Bywa to chaotyczne i nie zawsze pozwala dobrze się wczuć w akcję.

Skoro mowa właśnie o bohaterach tego filmu, to warto się pochylić nad grą aktorską. Moim zdaniem wypadła ona bardzo dobrze. Dwie najlepsze postacie – pan Dowson grany przez Marka Rylance'a oraz pilot myśliwca Farrier grany przez Toma Hardy'ego. Paradoksalnie jednak, pomimo wielkiego potencjału aktorów, niewiele jest im poświęconego czasu. Główny bohater – typowy brytyjski młody żołnierz grany przez Fionn Whiteheada – wypada nieco blado. Film jednak nigdy nie skupia się specjalnie mocno na jednym bohaterze i efektem jest niestety, że ich możliwości zostały ograniczone.



Jedną z bardziej charakterystycznych rzeczy jest fakt, że w filmie ciągle jesteśmy nękani różnymi zagrożeniami – niemieckimi bombowcami, zacieśniającym się okrążeniem sił lądowych, gdzieś ukrywającym się w morzu u-bootem. Nolan doskonale tworzy napięcie, ale czegoś zabrakło – a konkretnie to Niemców. W trakcie całego filmu żywego Niemca (a nie ukrytego w łodzi podwodnej czy za pancernym samolotu) widzimy nie dłużej niż przez 10 sekund całego filmu. Innymi słowy – zagrożenia czyhające na naszych bohaterów są paskudnie zdehumanizowane. Powiem więcej – mało ogarniający widz mógłby w trakcie oglądania zapomnieć, że tu chodzi o wojnę z Niemcami. Oczywiście, znajdują się zwolennicy takiego rozwiązania (wskazując, że pomaga to w skupieniu się na Brytyjczykach, bohaterach ewakuacji). Mnie osobiście jednak to poważnie mierz. Szczęśliwie, pomijając dehumanizację zagrożenia, zarówno walki powietrzne, jak i próby ucieczki żołnierzy przez morze są przedstawione naprawdę dobrze.

Można dojść do wniosku, że Christopher Nolan w poszukiwaniu tych pięknych scenerii trochę się zagalopował. By zbudować też "odpowiedni", ponury klimat, znacznie została obniżona skala. Czasami ma to swoje zalety (eksplozje nie są absurdalnie wielkie, a okręty toną relatywnie realistycznie), a czasami prowadzi to do absurdów (ilość żołnierzy na plaży, jaką widzimy, kompletnie nie gra z ilością, jaka była naprawdę). W ogóle jak się pomyśli, jak absurdalnie wielki był budżet tego filmu, to w porównaniu do takiej najnowszej "Przełęcz Ocalonych" ("Hacksaw Ridge") film wypada... biednie. Nawet bardzo. Generalnie – produkcja nie opowiada o wielkiej, skomplikowanej i tragicznej Operacji Dynamo, ogromnym przedsięwzięciu logistycznym i dramacie ludzkim. Widz w trakcie oglądania może mieć ogromny problem ze skalą. Szczególnie widać to w ogromnym dysonansie poznamczym, gdy na końcu filmu dowiadujemy się, że uratowano trzysta pięćdziesiąt tysięcy

żołnierzy. Potem widz dochodzi do wniosku, że to jest nierealne, bo w scenach z filmu ciężko było spostrzec nawet dziesięć tysięcy.

Ostatnim problemem, ale drobnym i dostrzegalnym tylko przez niektórych, jest fakt, jak bardzo anglocentryczny cały film jest. Konkretniej – w filmie gdzieś się zgubili Francuzi, którzy przecież mieli kluczową rolę w całej operacji (w końcu bronili uciekających przed nacierającymi Niemcami) oraz Belgowie, którzy też brali w niej udział. Ten anglocentryzm razi, tym bardziej że współpraca francusko-angielska była paskudna, a zakończyła się spektakularnie w Operacji Katapulta.

Na samo zakończenie wypada wspomnieć o samej muzyce. Podobnie jak oprawa wizualna, jest ona naprawdę dobra i Hans Zimmer się spisał, ale nie w kontekście "wyszło arcydzieło" tylko raczej "dobra, rzemieślnicza robota". Żaden utwór raczej nie wpadnie mi na dłużej w pamięć. Szczęśliwie jednak, dobrze pozwolił podtrzymać ten pieczołowicie budowany klimat. Warte odnotowania jest też całkiem dobre udźwiękowanie – ciekawie użyte odgłosy wskazówek zegara, wizji bomb – wszystko to jest na najwyższym poziomie.



Podsumowując, "Dunkierka" jest bardziej nie filmem, tylko inscenzacją, demem technicznym, pokazem ładnych obrazków. W pogoni za pięknymi scenami Christopher Nolan zatracił trochę to, co zawsze powinno budować film – czyli fabułę. W poszukiwaniu ładnych obrazków i odpowiedniej przynębiającej atmosfery, kompletnie zgubił skalę całej operacji. Jako piękne dzieło audiowizualne "Dunkierkę" bardzo warto obejrzeć, ale sama w sobie dobrym dramatem wojennym nie jest.



NAOKI URASAWA'S
MONSTER

Recenzja: „Monster”

Jedną z charakterystycznych cech kryminałów jest fakt, że najczęściej są one krótkie. Wynika to zwykle z tego, że bardzo ciężko prowadzić naprawdę dobrą intrygę przez długi okres czasu. „Monster” udowadnia jednak, że stworzenie takiej jak najbardziej jest możliwe.

» *Verlax*

„Monster” to adaptacja mangi o tym samym tytule. Jej akcja nie odbywa się jednak w warunkach typowych dla japońskiej animacji. „Monster” dzieje się w Republice Federalnej Niemiec w latach 80’ i 90’ – wyjątkowo interesujących czasach, w których Mur upada, a zjednoczone Niemcy mierzą się z licznymi problemami – w tym z duchami przeszłości pochodzącymi z NRD oraz byłej Czechosłowacji.

Główny bohater tej opowieści – doktor Kenzō Tenma – jest doskonałym, bezbłędnym japońskim chirurgiem pracującym w szpitalu w Dusseldorfie. Zaczyna mieć on dosyć nadmiernego politykowania w placówce, co objawia się np. priorytetowaniem pacjentów nie po czasie przybycia czy zagrożeniu życia, a po tym, czy są bogaci lub wpływowi, czy nie. W efekcie decyduje się on uratować małego chłopca zamiast burmistrza miasta pomimo nakazu przełożonego. Początkowo Tenma zostaje zdegradowany przez dyrektora szpitala, ale niedługo potem zarówno on, jak i jego wszyscy asystenci giną tego samego dnia. Tenma jest podejrzewany

przez policję, ale nie mogą znaleźć żadnych dowodów. Bohater pozostaje szefem zespołu chirurgów i przez dziewięć lat nic nie wydaje się zakłócać spokoju, do czasu aż kolejna bardzo złowieszcza seria okoliczności przypomina Tenmie o wyborze, jakiego dokonał wtedy na sali operacyjnej...

Pierwsza rzecz, która szokuje, to długość. „Monster” ma aż 74 odcinki i pomimo tego, właściwie żaden z nich nie jest zapychaczem. Co jest również piękne, nie ma tu de facto żadnego osobnego wątku. Jest tylko jedna linia fabularna, a za każdym razem, gdy zdaje się, że anime wprowadza zupełnie nieznaną postać z zupełnie nowym wątkiem, wszystko i tak ostatecznie okazuje się jakoś połączone. Intryga przez duże „I” jest mistrzowsko prowadzona. „Monster” jest przede wszystkim kryminałem i śledzenie kolejnych zbrodni, jak i prób doszukania się prawdy w tym wszystkim jest naprawdę pasjonujące.

Przy tak długim anime, ważne jest, by postacie pociągały i by śledziło się ich przygody z przyjemnością. Główny protagonista – doktor Tenma – jest napisany i przedstawiony doskonale. Jego zmagania, trudności i śledztwo ogląda się z przyjemnością. Japońskiemu chirurgowi towarzyszy, albo obok niego, albo w tle, kilka postaci pobocznych, które jednak są doskonale nakreślone i często powalają swoim charakterem. Inspektor Lunge z BKA, Pan Grimmer, Nina

Fortner, Dieter, psycholog Reichwein. Jednak osobiście uważam, że największą gwiazdą jest nasz tytułowy bohater – Johan Liebert, potwór, antychryst, diabeł wcielony. Jednak poza tymi epitetami, jest przede wszystkim absolutnie doskonałym złym, mającym powalającą charyzmę, doskonałą historię oraz motywację. Można wręcz powiedzieć, że jest on znacznie istotniejszy od protagonisty – doktora Tenmy. Jak się potem okazuje, właściwie wszystkie wydarzenia były mniej lub bardziej inspirowane przez niego.

Wizualnie, "Monster" nie zestarzał się za bardzo. Jak na anime z 2005 roku, ogląda się go dalej bez zgrzytów. Szczególnie piękne są krajobrazy i miasta. Akcja anime dzieje się w RFN, dawnym NRD oraz w Czechach. Wiele ze scen jest niczym z obrazka – szczególnie to widać przy wizycie w Pradze, gdzie można z łatwością rozpoznać najbardziej charakterystyczne elementy stolicy Czech czy wręcz poszczególne ulice. "Monster" to sama przyjemność dla oczu. Jediną wadą jest fakt, że o ile sceny w tym anime są naprawdę przepiękne, to nie do końca ten sam efekt zostaje osiągnięty, gdy wszystko zostanie puszczane w ruch. Konkretniej, to jakość samej animacji postaci jest dyskusyjna i nie zawsze poziom się utrzymuje. Można powiedzieć, że bardzo czuć, że "Monster" był bardzo wiernie adaptowany z mangi.



Muzyka w tym dziele doskonale sprawdza się w swej roli. Poszczególne kompozycje są doskonale połączone z tym, co dzieje się w poszczególnych scenach i daje to doskonały efekt. Szczególnie te ciche, smutne kompozycje towarzyszące śmierci bohaterów, ich zwierzeniom oraz przełomowym momentom opowieści sprawują się świetnie. Poza tym, że "Monster" jest kryminałem, jest również thrillerem. Postaci często popadają w śmiertelne zagrożenie i muzyka bardzo pomaga budować napięcie mu towarzyszące.

Warte moim zdaniem podkreślenia są również dbałość o detale epoki i generalnie mocna "przyziemność" całej historii i świata przedstawionego. Chociaż początkowo można podejrzewać istnienie wątków paranormalnych, wbrew pozorom takich nie ma. Jeśli ktoś uzna je takie za "lenistwo" i że "psują one właściwy kryminał" (patrz: "Death Note"), to odnajdzie się w "Monsterze" idealnie. Historie życia mieszkańców tego świata ogląda się z przyjemnością, ponieważ jest to rzeczywistość bardzo nam bliska, jeśli nie wręcz bliźniacza do naszej. Tytułowy "potwór" dalej jest tylko człowiekiem, co zwiększa respekt do niego oraz do popełnianych przez niego zbrodni.



Jakkolwiek bym próbował, nie jestem w stanie wskazać w "Monsterze" większych wad. Nawet dyskusyjne i bardzo otwarte, ciężkie do interpretacji zakończenie nie jest w samo w sobie złe. Prawdę powiedziawszy, prawdopodobnie do tak pięknej i porywającej historii w ogóle nie dałoby się znaleźć dobrego zakończenia. To, co wytrwali widzowie zobaczyli na końcu, i tak było najlepszym możliwym rozwiązaniem.

Podsumowując, "Monster" to prawdziwe arcydzieło. To doskonała intryga pełna zwrotów akcji i wyjątkowo przemyślanych historii, pełna galeria bardzo interesujących postaci oraz świetny świat przedstawiony. Poleciłbym go więc nie tylko fanom anime, ale wręcz przede wszystkim fanom dobrej fabuły czy dobrego kryminału. Wbrew pozorom w tej kategorii nie ma on aż tak silnej konkurencji. "Monster" świeci przykładem jako dzieło, które stworzyło wyjątkowo długą intrygę i nie popełniło właściwie żadnego błędu w jej realizacji.

Red's Pocket Ponies

W ofercie można znaleźć:

Przypinki

Kubki

Koszulki

Nieśmietelniki

Figurki Funko

Zamówienia specjalne



/redspocketponies

